

KAZIMIERZ FIL

ur. 1945; Lübz, Niemcy



Miejsce i czas wydarzeń	Lublin, PRL, współczesność
Słowa kluczowe	życie codzienne, życie kulturalne, Kazimierz Grześkowiak

Wspomnienie o Kazimierzu Grześkowiaku

Pierwszy kontakt z Kaziem? To parę miesięcy po tym jak wrócił po wygranym przez niego festiwalu w Opolu. Przy poczcie był plac, postój taksówek. Gdzieś się z kwiatami wybierałem, było ciemno, czekałem na taksówkę, i ktoś się o mnie oparł z tyłu. W takich długich... On miał takie stroje stylizowane na stroje chłopskie, zimy wtedy chyba jeszcze nie było, ale miał takie buty z cholewami, bardzo ładne zresztą, był na bani i się oparł o mnie. Ja stałem pierwszy. Miał taki obyczaj tutaj jak świętej pamięci Jan Himilsbach w Warszawie. No, w socjalizmie były kolejki do taksówek, a Himilsbach zawsze stawał pierwszy, tak samo Grześkowiak stawał w Lublinie. Jak była kolejka to on szedł pierwszy, puszczał go tam. Z sympatii dla twórcy, prawda, no. Naród się umiał odwdzięczyć. Wtedy miałem z nim kontakt taki pierwszy fizyczny. A poznałem go w Europie w knajpie, myśmy się tam z kumplami wybrali i Kazio tam śpiewał do kotleta... jakieś takie jazzowe kawałki. Fatalny był. Fatalny. Ja mówię: „Co to za wyjec?” I on to usłyszał. Mówi: „Płacą mi, to śpiewam”. Ale mówię: „A nie mógłby coś lepszego?”. On miał ambitny [repertuar], on śpiewał wtedy, zakochany był w Mahalii Jackson, takiej murzyńskiej, jazzowej piosenkarce. Po co on się brał za jazz, cholera go wie tam. Ale się brał. Wtedy go widziałem po raz pierwszy w życiu. [Który to był rok?] Sześćdziesiąty trzeci, czwarty. Tak. On tak się wtedy pokazał, studiował filozofię. Pochodził chyba spod Krakowa. Przez rok był w seminarium duchownym, był klerykiem, rzucił to i przyjechał tutaj do Lublina. I był na filozofii, której zresztą nie skończył. To wtedy w tej knajpie to był nasz pierwszy kontakt. A później gdzieś patrzę, pisywał felietony do Sztandaru Ludu, takie kulturalne, nawet miał niezłe pióro muszę powiedzieć. Później zniknął w Warszawie... Aha. Związał się z Kaziem Łojanem, razem pisali teksty, Abramowicz chyba pisał muzykę. I on wtedy zasłynął tymi „Pannami z Cicibora”... Łojan napisał ten tekst, on to wykonał publicznie, to później poszło w radio. Tam z podtekstów coś wynikało i tam przyszła odpowiedź od chłopaków z Cicibora, nawet nie wiedzieli, że coś takiego istnieje. To powstało w głowie u Łojana. I lepiej niech tu się nie pokazują, bo wyjadą karawanem.

No to oni: „Dobra, dobra”. Paru dziennikarzy namówili tutaj, zorganizowali jakąś kasę i wynajęli karawan i tym karawanem wjechali. No oczywiście jakaś warszawa za nimi jechała z gliniarzami, żeby nie zrobili... I to poszło w Polskę. Ktoś tam się nimi z góry zainteresował i po tym Ciciborze ktoś mówi: „Kaziu, ty powinieneś śpiewać takie piosenki stylizowane na chłopskie. To ci wyjdzie”. I ktoś mu to dobrze poradził. I on zaczął pisać sam teksty. No i poszedł ten słynny „Chłop żywemu nie przepuści”, to mu już sławę nieśmiertelną przyniosło. Na pewno założenie z tą grupą, Silna Grupa Pod Wezwaniem, Chyła, Jacek Niezychowski, Krzysztof Litwin, to znakomite nazwiska. No i on się w tym już tak pogрузzył, że on mówi: „Ja nie pamiętam kiedy byłem w Lublinie, kiedy byłem u żony, kiedy byłem tu”. On był na wiecznym haju. Jak wyjechali do Polonii, oczywiście szybko ich Polonia ściągnęła, to były lata 70-te, przede wszystkim Chicago i okolice. On mówi, przez dwa miesiące, trzy razy w tygodniu dawaliśmy [koncerty], mówi, myśmy pili bo nie mieliśmy sił śpiewać. A nie można było zawieść, bo straszna była kasa. I mówi: „Ja tam sobie zadzwoniłem do konsulatu, bo chciałem sobie zrobić wycieczkę nad ocean i tam taką linią kolejową Trans American”, to dostał zgodę od konsula, że może, ale ta Polonia tak była w nim zakochana, że kupiła mu bilet, do takiego przydziału gdzie kierownikiem był Polak z pochodzenia. Jak on się dostał do tego Polaka, to mówi: „Ja nie wiem jak się tam dostałem. Jechałem tam chyba 5 dni nad tamten ocean – mówi – ja chyba tam nic nie płaciłem. Zawsze się jakiś Polak znalazł – mówi. Mi stawiali – mówi – ja tylko tak – mówi – do przedziału, spanie, kąpanie, wychodziłem na korytarz, już na mnie czekali”. Pytam go, mówię, co dalej? „Wylądowałem w San Francisco. Tam siedziałem chyba z tydzień, też u Polonii – mówi – tam pokazywali mi ten słynny most, Złoty Most, widziałem zatokę San Francisco” – mówi. Ja mówię: „Kąpałeś się?” Mówi: „Tak. W wannie chyba” – mówi. „A byłeś w jakimś hotelu?” „Nie – mówi. Ciągłe byłem u jakichś Polaków”. „Kurwa – mówię – to do domu wracaj”, bo żona jak wyjeżdżał to mówi: „Kaziu, czy ja mogę robić generalny remont?”, „Tak, rób”. To kosztorys wtedy był na 700 dolarów. To było dużo przecież. Z tego mieszkania spółdzielczego tam na Kazimierza Wielkiego to tam żona zrobiła bombonierkę. A mówi: „Rób. Kasa będzie”. No i wsadzili go w samolot już. Zadzwonili do Chicago. W Chicago go odebrano, jeszcze jakoś go przygotowano, później go wsadzono w samolot do Warszawy. W Warszawie wysiadł i mówi, że zawsze się zatrzymywał w hotelu w MDM-ie, miał swoich zaprzyjaźnionych kierowników. No to wciśnięto go w ten MDM, tam był przez dwa tygodnie. I rozmawiam telefonicznie: „Czemu nie wracasz?”, „Bo nie oprzytomniałem”. Ja mówię: „I co?” No mówi: „No co? No zostało mi jeszcze ze 300 dolarów, no to wzięłem taksówkę za 60 do Lublina, dojechałem, ale poszedłem do Nory – mówi. Spałem u kumpla, czułem, że nie bardzo mogę wracać. Aż w końcu mnie żona znalazła i przywiozła”. „No i co? No i wytrzeźwiałeś?” I żona pyta: „Gdzie pieniądze?” „No zostało mi chyba 100 dolarów” - mówi. „No i co?” - pytam. „Dostałem w pysk” - mówi. No i co? Mówi: „Nie martw się, pieniądze będą”. A tu już czekają fachowcy, żeby on im dał. Mówi: „Napożyczałem gdzie się dało,

zapłaciłem, pojechałem do Warszawy, pojechaliśmy na koncert na Śląsk, a jak się jedzie na Śląsk na koncert – mówi – to się dopiero po dwóch miesiącach wraca od tych górników”. No i co? „No i później wylądowałem na odwyku” - mówi.

Ja się zaprzyjaźniłem z Kaziem jak już Kazio wrócił z odwyku. Już nie pił. Kazio wrócił z odwyku w 85 roku. Już nie pił. Już nigdy się nie napił aż do śmierci. Wtedy żeśmy się skumplowali. Jakoś tak weszliśmy na wspólne fluidy. On mnie odwiedzał w tej mojej pracowni na Skłodowskiej. Później ja kupiłem używanego busa volkswagena. Później zawiozłem go na pierwszy jego koncert w tym jego nowym stanie. To było w pałacu, w Nałęczowie. Tam się spodobał kuracjom i tam zawarł taką umowę z kierownictwem sanatorium, że przyjeżdża, daje koncert i przez tydzień ma wikt i opierunek, w pokoju. I on tam często jeździł, spacerował, wyciszał się i tam zaczął pisać. I tam zaczął pisać naprawdę dobre teksty. Jego ostatni tekst przed śmiercią, który tak pięknie wykonał Janek Kondrat z Federacji Bardów, „Południca”. Przepiękny tekst Kazia.

Jak ja znikalem na Mazurach albo na morzu, no to była przerwa, ale myśmy się przyjaźnili... ja bywałem u niego w domu, a później on się rozwiódł, kupił sobie taki pokoik z kuchnią z odzysku na LSM-ie. Jak się ta ulica nazywa? Na 4 piętrze, tam bywałem u niego często...

Jakieś anegdoty związane z Kaziem? W 88 roku zaprosił go taki poeta, tekściarz, pochodzenia żydowskiego, który wyjechał na fali tej emigracji po 68 roku, on się nazywał Tannenbaum. Zaprosił go. Opłacił mu bilet w obie strony. I Kazio nie miał w czym jechać. Ja miałem taki stary garnitur z którego wyrosłem. On w to wszedł. Miałem taką kurtkę skórzaną z której wyrosłem i on w to też wszedł. Jeszcze mu pożyczyłem na buty. Potem pojechał, zaproszono go, mówi, pojechał z nadzieją, że coś się w moim życiu odmieni. No i się odmieniło, no. Po tej wizycie wrócił, zaczął koncertować. Jeden z pierwszych koncertów to był ten, co wspominałem, w Nałęczowie i ja go woziłem do tego Nałęczowa często. I później przyjechał jakiś taki gość, też poeta, piosenkarz, strasznie nawiedzony, też pochodzenia żydowskiego, ze Szwecji, który tam się związał z jakimś takim ruchem ludzi, którzy leczyli za pomocą dłoni, jakieś takie tam fluidy, prądy, mnie to po dzisiejszy dzień nie przekonuje, ale może coś w tym jest? Kazio był sceptyczny od początku i Kazio mówi: „Jedziemy, bo ten wariat – mówi – tam się spotyka z jakimiś szamanami – mówi – zobaczymy o co tu chodzi”. Myśmy tam pojechali, tam był taki szaman, mówię to oczywiście w cudzysłowie, który się kreował na uzdrowiciela, i miał taki wianuszek tych pań, które były kuracjuzkami, one go uwielbiały tam, achy, ochy i tak dalej. No, cwaniak jak się później okazało. Siedzieliśmy w jakimś tym parku, tak, i on mówi do tego faceta: „No to niech pan mi teraz powie co mnie jest?” Ten facet się zorientował, że rozmawia z gościem inteligentnym, to temu kichy nie wstawi, ale był jeszcze z nami dziennikarz, Andrzej Kowalczyk, on pracował w Kurierze. Facet ustawił sobie w ten sposób dłoń, tak jakby Kazia naświetla i mówi co Kaziowi jest. No to Kazio spokojnie: „Czy pan coś czuje?”, natomiast ja patrzyłem na twarz tego faceta, który po prostu wysiadał. Mógł

sobie obracać jakąś tam starszą panią naiwną i mógł jej wmawiać. Tu się nie mógł wycofać, bo tu dziennikarz, to ten. I w końcu Kazio mówi: „Tak naprawdę to chuj mi jest”. „Ja mam poszarpaną wątrobę i to wszystko – mówi – nerki, panie! Jakie kurwa nerki, mam zdrowe, płuca zdrowe”. Facet mówi: „Niech pan mnie nie nabiera”. Wstał, wziął aktówkę i odszedł.

Z pijackich anegdot no to jeszcze się z nim nie przyjaźniłem, jak siedziałem przy stoliku w Pod Strzechą, on był na bani, tam sobie z kimś siedziałem, jakieś tam pięćdziesiątki rozstawione, on już wychodził, zatrzymał się: „Grześkowiak jestem”, „Wiemy, wiemy” - cały stolik. Tak jak stały te pięćdziesiątki, prawda, jedną, drugą, trzecią, a później do portiera: „Teraz proszę taksówkę”. Nie miał pieniędzy już. Taksówkami też jeździł na tej zasadzie, że tam później oddawał.

Pod koniec jego życia w trzech żeśmy się udali do tej... tam gdzie jest ta kaplica Metodystów Dnia Siódmego. Oni słynęli w świecie tym, że leczyli skutecznie z nałogu palenia. To byli naukowcy jeśli chodzi o palenie. Poszedłem z Kaziem na pierwsze spotkanie i pierwszy kurs, z Kaziem i z jeszcze jednym kolegą. I co nas najbardziej przekonywało – materiały filmowe w kolorze, które pokazywały ludzi w Stanach, którzy już umierali a jeszcze palili. Pamiętam, jakiegoś Latynosa nam pokazano, który miał twarz zniszczoną rakiem, miał otwór, o tutaj, którym wlewano przez rurkę jakieś tam płyny, ale on przez tą rurkę palił, wkładał papierosa i wypuszczał ten dym nosem. Jak ja to zobaczyłem, ja się przeraziłem. Mną to rąbnęło, i parę innych osób. Kurs trwał przez tydzień, chodziliśmy codziennie na takie dwugodzinne zajęcia, rozmowy, i taką cechą charakterystyczną to było, że każdy musiał nosić przez całą dobę surowe jajko ze sobą. W tym dniu, w którym żeśmy zaczęli ten kurs, postanowiliśmy, że już rzucamy palenie. Jako że człowiek w ciągu dnia ma tyle spraw do załatwienia, że zapomni, zwłaszcza nałogowiec, jajko przypominało mu o tym, w kieszeni, że no po coś to jajko masz. A no tak. Więc ja nie zapaliłem. Jako jedyny z całej grupy. Kazio poszedł od razu odłożył jajko, ten kolega trzeci też. Później żeśmy wyszli, jest takie patio, poprzedniego dnia prowadzący, ten pastor, mówi: „Wszystkie papierosy jakie macie, łącznie z zapałkami w domu przynieście”. Przynosiliśmy i tośmy spalili. To taki symbol był z tym paleniem. Zamykamy temat. Natomiast każdy z nas opowiada swoje przygody z jajkiem. Jako że w centrum mieszkałem, ja nie używałem środków komunikacji, natomiast Kazio używał. I mówi: „Kurczę, trzymam jajko, tu samochód rusza, tu się cofa”. Ja mówię: „I co?” „Ileż ja ludzi potrafiłem, zaraz by mnie wyrzucili z autobusu”. Kazio po prostu kłął, jak się wkurzył to kłął. I tak, po pół roku ten z nas najstarszy wrócił do palenia. Po trzynastu miesiącach dzwoni do mnie Kazio i mówi: „Słuchaj. Piszę teksty, ja chodzę. Nie mogę się skupić. Ja już do wódki nie wrócę, to wiem, ja muszę palić”. Mnie przeprosił, mówi: „No to... ja wracam”. Ja nie wróciłem. Od tamtego dnia jak rzuciłem, to minęło, pod koniec października robiliśmy ten kurs, minęło 22 lata lat jak ja nie palę. Myślę, że ja sobie w ten sposób przedłużyłem życie. Bo ja byłem nałogowcem. Kazio zmarł... Kaziowi to nie pomagało. Kazio do końca palił tak zwane extra mocne, nazywane cekaemami, to palił duże ilości. On słabł.

Kazio słabł z dnia na dzień. Serce wysiadło. [Co to znaczy „duże ilości”?] Trzydzieści, czterdzieści dziennie. To dużo. Ja też tyle paliłem.

[Jak się dowiedziałem o jego śmierci?] To było tak. Myśmy się z Kaziem tam o głupie sprawy pokłócili. Zresztą jak Kazio przestał pić, to Kazio był strasznie humorzasty. Miał tak zmienne nastroje jak baba w ciąży chyba, i jakoś tam poszło. Myśmy okupowali ciągle ten sam stolik w Hadesie, mieliśmy wspólny stolik tam, który był dla nas, dla naszej grupy, i politycznie coś tam Kazio zaczął wydziwiać, ja byłem za Wałęsą, on mówi: „Co ten szwenda...”, ja mówię: „Kaziu, facet ma charyzmę – mówię – że co? Że robot?” A on pyta się mnie: „Byłeś nim zachwycony jak przemawiał w połączonych obu izbach kongresu amerykańskiego, piałeś z zachwytu – mówi – to jest niesamowite, ale mógłby się nauczyć mówić”. „Odpuść mu jego winy – mówię. Ty sam się zachowujesz jak chuj.” I tak się to zaczęło. „Ja jak chuj?” „Tak” - mówię. Nawet się nie mogłem pohamować choć przy kobietach byłem. A później żeśmy się spotkali, myśmy spędzili Wigilię w redakcji tutaj, na Staszica była ta redakcja. Takie spotkanie wigilijne jeszcze przed Wigilią. Jeszcze żeśmy się podzielili opłatkiem, mówię: „Kaziu, szufla, no”, „Masz, masz, masz”. Życzenia, a później się dowiedziałem, że nie żyje. Nie byłem na jego pogrzebie. Wtedy to musiałem wyjechać. A żałuję, bo właśnie chłopcy z tej Federacji Bardów zaśpiewali przepięknie tą „Południcę” jego. Ja nie byłem. Miałem sprawy rodzinne, musiałem w Krakowie wtedy być.

Data i miejsce nagrania	2010-02-15, Lublin
Rozmawiał/a	Marek Nawratowicz
Transkrypcja	Maria Radek
Redakcja	Maria Radek
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"